

Kronika

tygodniowa

Najniewznieślijsze są dla kronikarza kroniki tak zwane „przełomowe“, jak na przykład niniejsza. Pisać ją musi jeszcze w karnawale, i to w okresie jego ostatnich przedśmiertnych, więc najszybszych podręczników. Czytelnik dostanie ją do rąk już w czasie wielkopostnym. Cień więc wokół wro zabawa wesola, jedni nie odetchnęli jeszcze, a nawet nie wyspali się porządnie po Reducie prasy, inni przygotowują się do „tłustych sobót, niedziel, poniedziałków i wtorków“, on dziś już musi swą lutnią nastroić na nutę „gorzkiej żali“.

Ala trudno!... Tak białe składacz, który choć nie jest egiptologiem, potrafi odczytywać kronikarskie hieroglify, i jezu też przypada w udziału ta bardzo wątpliwa przyjemność odczytywania tego, co kronikarz nabazgrze (oj, to prawda — przyp. zecera).

Wola jego jest zatem dla kronikarza rozkazem, a on już w płatek przypomina się pamięci, gdyż arkusz z kroniką musi być gotowy w poniedziałek, by go już we wtorek mogła przyjąć w awe objęcia maszyn drukarska.

Trzeba więc pogodzić się z prątką rzeczywistością i już w sam tłusty czwartek starać się o wielkopostny nastrój. Całe szczęście, że kronikarz, jak już poprzednio zaznaczył, do bawiących się nie należy. Zmiana tonu nie sprawi mu zatem zbyt wielkiej trudności. Zresztą, wstawiamy codziennie o godzinę wcześniej, możemy zatem i o tydzień wcześniej rozpocząć „gorzkie żale“, które, tak, czy owak, śpiewamy rok cały.

Karnawał należałoby pożegnać, ale, ponieważ żegnać można tylko to, co było *de facto*, a dla kronikarza on właściwie nie istniał, nad nim jego przechodził zatem do prądu diennego. Być może, że doń jeszcze w jednej z następnych kronik powróci, o ile jednak otrzyma sprawozdanie od redakcyjnego balowego referenta, którego od dwa tygodnie nie widział. W nocy pracuje nogami na dobroczynne cele, w dzień śpi, aby nabrać siły do dalszego ciągu, nie ma więc czasu na złożenie sprawozdania, co widział. Wiadomem jest tylko, że zdarł w tym miesiącu już dwie pary bucików, co jest aż nadto wymownym dowodem, że tegoroczny karnawał udał się w zupełności.

Ze smutkiem tylko stwierdzić się musiał, że w czasie karnawałowym kronikarz paczka ani nie jadł, ani nie widział, słyszał tylko o nim, gdy Wronika odczytywała przepisy ich smaczków, aby się przekonać, ile też sporządzenie tego karnawałowego specjału kosztowałoby w obecnych stosunkach z zastrzeżeniem naturalnie „o ile byłoby węgla“..., gdyż trudno użyć do tego ciepła słonecznego. Pokazało się, że... tysiąc marek może wystarczyć, aby każdy z domowników dostał po dwie sztuki, i to z powidłami wewnątrz lub barczaną marmoladą.

Gorzej, że zawiódł kronikarza jeden z jego okolicznych przyjaciół, który obiecywał, że o nim, jadąc paczki, nie zapomni. Wziął obietnicę widocznie zbyt dosłownie, paczki zjadł, o kronikarzu wówczas myślał, że on się tam w Krakowie musi obejść smakiem, ale też i na tem się skończyło... A mógł, gdyby był chciał, ale brak mu bowiem składników, do sporządzenia paczków nieodzownych, jako agraryszowi, z wyjątkiem chyba cukru, ale i o ten nie trudno. Mając podostatkiem różnego rodzaju artykułów spożywczych, może się łatwo drogą handlu zamiennego zaopatrzyć i w cukier.

Ala, powiada sobie z rezygnacją kronikarz, że z powodu braku paczków jeszcze dotąd nikt nie amari, przeciwnie, objadanie się nimi niejednemu już ułatwiło „ewakuację“ na Rakowice.

I to go pociesza w myśl dziesiątego przykazańa hygienicznego pana fizyka, które w danym przypadku brzmieć powinno: „Mimo braku paczków, nie spadaj na dół!“.

Jak zatem karnawału nie ma co żegnać, nie ma też powodu do witania „wielkiego postu“, gdy go mamy, jak rok długi, a jest dzięki wojnie, naprawdę „wielki“. I, jeżeli przezeń można odpokutować za swe grzechy, możemy śmiało spoglądać w przyszłe życie, gdzie czeka nas wieloletnia szczęśliwość.

W każdym razie już choćby tylko dla zwyczajn, zaglądnął kronikarz do „Zoologii“ Nowickiego i z niej się przekonał, że śledź (*Clupea harengus, der Hering*) zaliczony tam jest do gromady ryb, gdy ludzie natomiast nie uważają go widocznie za rybę, lecz za jakiś jej surrogat, nierzadko bowiem słyszy na pytanie: „Czy jadłeś dziś rybę?“ — odpowiedź: „Nie!... Ryby

nie jadłem, tylko śledzia!“... Ergo, śledź nie jest rybą, a przynajmniej nie był nią wtedy, gdy sztuka kosztowała cztery centy, za szóstą miało się garnirowanego celownika lub ogórkiem, a za trzydziści centów z takimi dodatkami, że na ich wspomnienie ły się człowiekowi cisną do oczu... Dziś zmieniły się czasy, śledź awansował już dzięki wojnie na rybę, cena za sztukę dochodzi do... pięćdziesięciu marek. Za te pieniądze miało się dawniej łaosła, wszystko, co potrzebne do jego przyprawy i jeszcze zostało cokolwiek, by miał w czym pływać...

Tak było, gdy nie mieliśmy dostępu do morza, które jest właśnie ojczyzną śledzi. Mamy morze, ale śledzi nie mamy, zanim zaś „Porzecz“ zaopatrzyć nas w nie się zdecydować, z pewnością w drodze się zamierdzą.

Musiemy zatem zrezygnować we wielkim poście ze śledzi i obywać się bez nich, jak obywaliśmy się w karnawale bez paczków. Jeżeli zaś kronikarz o nich wspomina, to tylko dlatego, aby przypomnieć, że „dawniej ludzie w tym okresie żyli się śledziami, gdy natomiast obecnie a nowia one przysmak. spotykany jedynie na wielkopostnych stołach“... Historyk, który się kiedyś zajmował badaniami stosunków w naszych czasach, przeżyławszy ową wzmiankę kronikarską, będzie miał bardzo ułatwione zadanie.

Co wpłynęło na ten awans śledzi?... Odpowiedź na to: „Ih brak, będący następstwem bardzo racjonalnej gospodarki naszych władz centralnych“. A braków tych tyle, że sobie człowiek kompletnie nie już z tego nie robi, jeśli nie może się w coś zaopatrzyć, co mu się dawniej wydawało niezbędnem do życia. Macha z rezygnacją ręką i mówi sobie: „Niema?... to się obejdną!“ I tak powoli zaczynamy się obchodzić bez tego i cwego, aż dojdziemy do tej perfekcji, że staniami się najszczęśliwszym na kuli ziemskiej narodem, umiemy się obejść bez wszystkiego. To zaś będzie w miarę do zadowolenia tylko w janie światowej, gdyby bowiem nie ona, nie byłibyśmy się nigdy dowiedzieli, że mamy tyle udelnienia do odgrywania roli artystów-głędmerów. Dr Tanner, Sucl, nawet ś. p. Mac Sweeney, który tamtych w kół róg zapędził, w ką przed pierwszym lepszym z pomiędzy nas.

Obstarstwo jest zresztą grzechem śmiertelnym i prócz tego, że szkodzi ciału, hała tuż i duszę. Pozostaje, zasnęliśmy sobie zatem na zbawienie wieczne, chronimy się też i od cierpień doczesnych, w gnście niestrawności i jej podobnych. A i to ma awę dobre strony, jeżeli się zwymy, że, zepsuwamy zdrowie, trzeba je też potem i starać się naprawić, a ta naprawa i zbyt wiele kosztuje i napotyka nieraz na nieprzezwyciężone wyrost trudności.

I na tem polu brak wszystkiego, czego następstwem jest szalona drożyzna, bo, ostatecznie, jeżeli się ma pieniądze, wszystko się znajdzie w myśl słów Pisma świętego: „Sankajcie, a znajdziecie“...

Pokazuje się jednak, że w tym wypadku, dzięki wojnie, myli się nawet Pismo św. I rań wojna nie została bez wpływu... Przekonał się zaś o tem kronikarz sam na sobie.

Będąc od dziecka zdeklarowanym „Morrisonistą“... (obecnie może się już przyznać do tego, bez obawy, że za sympatyzowanie z Anglią mógłby się dostać na Montelnich...), od czasu do czasu, gdy mu cielesna powłoka, czyli ów futerał, w którym tkwi kronikarska dusza, zaczyna szwankować, ratunku szuka w pigułkach Morisona, będących dawniej uniwersalnym domowym środkiem leczniczym krakowskiego mieszczaństwa, można je też było nabywać nie tylko w aptekach, ale i w niektórych sklepach korzennych. Lekarzy, których interesom szkodziły, rzucali na nie gromy, co jednak bynajmniej nie przeszkadzało, że, gdy sami, lub ktoś z rodziny zaniemógł, zabierali się do onych pigulek.

Kronikarz ma też do nich zaufanie, chciałby je znaleźć, szuka zatem, ale znaleźć nie może... Jak gdyby zapadły się w ziemię... długi namer można jeszcze gdzieś wytebrać, natomiast pierwszego nigdzie nie dotanie. Chcąc zaś przeprowadzić racjonalną kurację, trzeba oba numery zatywać naprzemiennie, od pierwszego zaczynając i na pierwszym kończąc.

Powie kto może, że kronikarz, skoro się chwali swymi stosunkami z Lloydem George'm, może doń napisać, a on z pewnością spełni jego życzenie... Tak, to prawda, Lloyd George nie odmówiłby przyjacielowi, ale on wychodził z zasady: „Kochajmy się jak bracia, a rachujmy jak rydzy!“ — żąda za wszystko zapłaty i to w złocie lub cukrem albo naftą. A tu, jak na złość, złota kronikarz nie posiada, zamiast cukru słodzi sobie żywność i herbatę sacharyną, przydział nafty i świeczek jest zaś tak minimalny, że wystarczy za ledwie na pokrycie własnych potrzeb i rodziny, o zamiennym handlu niema więc ani mowy. Zresztą trzeba byłoby wdroić starania w drodze dyplomatycznej, a to z zasady zabiera zbyt wiele czasu i papieru, ten

zaś jest i drogi i potrzebny, zwłaszcza temu, kto się zabiera do przeprowadzenia kuracji Morisonowskiej.

Zalazby się wprowadzić inny sposób wyjścia, kronikarz jednak nie chce go próbować, obawiając się, aby mu kto przy tej sposobności figla nie wypłatał. Nie ulega wątpliwości, że i pomiędzy czytelnikami „Nowości Ilustrowanych“ znajdzie się dość „Morrisonistów“ i że niejeden z nich ma u siebie „pierwszy numer“, mógłby go zatem odstąpić, trzeba tylko z odpowiednim apelem zwrócić się do ogółu.

Niewątpliwie któreś z czułych serc poratowałoby kronikarza, nie jest jednak wyłączone, że ktoś złośliwy, lub jakiś polityczny przeciwnik mógłby skorzystać ze sposobności i zabawić się... w H. Frichtera. Ten był austriacki porucznik, chcąc się dostać do sztabu jeneralnego, choć nie aptekarz, wymyślił pigułki, które mu to miały ułatwić. Urządził się natomiast zupełnie po aptekarsku i pigułki jego wynalazku mieli iśćkać inni, jemu miały jedynie dobrze zrobić. Razem z je zatem wszystkim tym, którzy mu stali na drodze, zalecając, jako niezawodny środek „na odmłodnienie“. Z pomiędzy obdarowanych niemi, jeden tylko kapitan Mader, był widocznie ciekawym czy pomaga, i zapytał, ale awoja ciekawość przyplacił życiem. Najszybciej rano obudził się już nieboszczykiem... H. Frichter, dzięki swolm pigułkom, dostał się zamiast do sztabu jeneralnego do kryminała i to bez potrzeby usuwania przeszkód w sposób nadzwyczajny...

O.óó i w danym wypadku mogłoby zająć coś podobnego. Na apel kronikarza mógłby odpowiedzieć ktoś, przysyłając mu, zamiast pigulek Morisona, pigułki H. Frichtera, a on nie ma jeszcze ochoty pozbycia się swych dolegliwości w sposób tak radykalny. Chciałby się koniecznie doczekać ostatecznego uregulowania stosunków powojennych i przekonać się, czy się jego przewidywania sprawdzą, czy nie. R.óó byłby dożył bodaj tej chwili, kiedy dawna bułka dwucentowa będzie kosztować niechby nawet i markę, ale nie dle się, jak to jest obecnie. Ciekawy jest też, czy *Aida* wpadnie nareszcie na trop sprawców napadu na sklep Zahrow.

Z tych wszystkich, wyżej wymienionych powodów rezygnując zatem na razie z spełnienia swych marzeń, odkładając je na późniejsze czasy, co przecież nie przeszkadza w narzekaniu na fatalne skutki i naspobias do nastrojenia kronikarskiej lutni na nutę „gorzkiej żali“.

Wszystko zresztą idzie jak po grudzie. Po inne lata mieliśmy w tym czasie prawdziwie polską zimę, z mrozem, śniegiem i kulihami, lecz i z węglem. Mróz dawał ochoty do zabawy. Dziś mamy aurę prawie wiosenną i tańczymy, ale z zimna, gdyż węgla brak. Nie można nawet powiedzieć z całą stanowczością, czy połączaliśmy się już ze zimą, czy też ona o nas jeszcze nie zapomni, gdyż pogoda w dzień Matki Boskiej Gromniczej była tego rodzaju, że ani rusz odgadnąć, czy niedźwiedź swą budę złurzył, czy ją też poprawił i ułożył się na dalszy ciąg snu zimowego. Co on zresztą robi sobie ze zimy, gdy ma na sobie fatro, które go nie nie kosztuje... Na aprowizację też nie narzeka, gdyż tak daleko nie sięga zakres władzy ministerstwa żelazkowej amunicji (czyli aprowizacji...).

W dniu tym mieliśmy i mróz i błoto. Kto wracał rano z Reduty prasy, ten twierdził, że już po zimie, kto wyszedł z domu dopiero w południe, jest zdania, że zima się przewiezie, z dachów bowiem kapalo...

A całe w tem nieszczęście, że na Reducie prasy był widocznie i personal Inspektoratu węglowego i miejscowego Urzędu rozdziału węgla. Panowie ci wracali rano do domu, gdy był przymrozek i dlatego zgłaszających się o przydział odprawiają z kwikiem (lecz nie na potór węgla), zapewniając solennie, że niedźwiedź budę już rozwałił i tylko czekać, jak nastana upały. Po przydziale na rok następny polecają się zgłosić... w maju.

Te wszystkie kłopoty i smartwienia, jakie się stały naszym udziałem, jako „dobroczynne następstwa wojny światowej“, ułatwiły kronikarzowi wybrnięcie z trudnego położenia, w jakim się znalazł, mając pisać pierwszą kronikę wielkopostną, podczas gdy wokół wro huczna zabawa, peili się szampa, a muzyka rżnie od ucha. Obowiązek to rzecz święta, a chyba trudno w tak poważnym czasie zbyt się weselić. Pospymy zatem głowy popiołem (kto go naturalnie ma, bo i o popiół dziś trudno!) i rozpoczniemy dalszy ciąg pokuty, a będzie nam to z pewnością kiedyś policzone...

